



K A R N A W A L

Dzieje szaleństwa karnawałowego biorą początek od swego rodzaju... demonstracji bolszewickiej. Trzeba bowiem wiedzieć, że *saturnalia* rzymskie były przedewszystkiem świętem niewolników, którzy, czcząc pamięć Saturna, ową epokę powszechnej równości i dobrobytu, wychodzili na ulicę odziani w białe i purpurowe togi, z głowami nakrytymi (oznaka wolności), śpiewając, tańcząc i bawiąc się ku chwale tych czasów, kiedy to żyło się „sponte sua sine lege”, kiedy nie było jeszcze rang i hierarchij, a bóg Saturnus Falcifer (sierponośny) szczęśliwie i dobrotliwie w złotym wieku (*aurea aetas*) panował. Niewiadomo, czy proletrjat rzymski wznosił podczas święta tego okrzyki antypaństwowe, lub godzące w całość Imperium Romanum (np. „dowolno naszej krowuszki nasosaliś”), rzeczą atoli pewną jest, że starorzimscy burżuje bawili się wraz z niewolnikami, szkoły, sądy i inne instytucje państwowe były zamknięte, wszyscy obdarzali się nawzajem prezentami, i naród rznął sobie prosto w twarz całą prawdę. Pili ludzie i bili się, pili i znowu się tłukli, ale oczywiście na wesoło. I choćby ostatni śmieciarz najczcigodniejszą matronę do tańca wtedy zaprosił — rzymska madame odmówić nie śmiała. Każdego innego

dnia poza okresem saturnalij *sclavus* dostałby od szefa swego wymówkę za taką propozycję, a mianowicie ścięto-by mu łeb.

Saturnalia trwały początkowo jeden dzień. Jeden z cesarzy, człowiek wesoły (*August, nomen omen!*), przedłużył je do trzech dni, Kaligula jeszcze dzionek dorzucił, potem z czterech zrobiło się pięć, szósty sam jakś się dołączył, i w ten sposób karnawał rzymski trwał od 17 do 23 grudnia.

Jeżeli saturnalia były pradziadkiem naszych zabaw karnawałowych, to *bacchanalia* śmiało nazwać możemy prababką ich. Przybyły one z Egiptu do Grecji, z Grecji przeszły do Rzymu, gdzie początkowo miały charakter misterjów religijnych. Bachanci (kapłani) przebierali się za Panów (nie mieszać z panami), Sylenów i Satyrów, a że przysłowiowa lubieżność tych postaci mitycznych domagała się upustu dla bardzo nieskomplikowanych a naturalnych chuci swoich — zjawił się chętny element żeński, i tak wspólnymi siłami zaczęto wyprawiać orgiastyczne hece. Bachantki w skórach tygrysiach na nagim ciele, z wieńcami róż na głowie, z tyrysami w dłoni krzyczały na ulicach „*Evvo Bacche!*” — co po starozym-





sku znaczyło... Zresztą, wiadomo co to znaczyło. Szły tedy rozbawione maskary na miejsce ofiarne i najpobożniej rozpoczynały pijatykę, która kończyła się igraszkami nie pozostawiającymi żadnych wątpliwości co do swego charakteru.

* * *

Sądę, że czytelniczkom „Pani” jest wszystko jedno, czy słowo *karnawał* pochodzi od *caro vale* (żegnaj mięso), czy od *carnis levamen* (coś w rodzaju pauzy w spożywaniu mięsa), *carn-avalare*, *carrus navalis*, czy wreszcie od *kar nawału*, jak twierdził pewien ponury dowcipniś. Figlarzom i figlarkom pozostawmy tę kwestję, sami zaś przyjrzyjmy się ciekawej metamorfozie owych zabaw i igraszek w ciągu stuleci. Jak wiadomo, nazajutrz po czasach starożytnych nastąpiły wieki średnie. Otóż całe średniowiecze szalało w tym sympatycznym okresie w sposób najdziwszy. Dawne obyczaje pogańskie przeniesiono na grunt nowych wierzeń; swawole wyuzdanego tłumu barwnie i hucznie biją z pożółkłych kart starych kronik. Rzemieślnicy, żołnierze, dzieci, kobiety, wszystkie stany bez różnicy wieku przebiegają z wyciem i śmiechem przez ulice średniowiecznego miasta, noszą na twarzach potworne maski, przebrani są za zwierzęta, fantastyczne smoki i bazyliuszki, za postacie mitologiczne i egzotyczne.



Tutaj ukoronowany osioł kroczy na czele pochodu, tam banda wymazanych sadzami pacholków eskortuje udekoronowany wóz, na którym rozwalił się pijany Bacchus, tutaj znowu falanga błaznów, w barwne strzępy przybranych, tańczy i skacze wokół swego króla (*le roi res fous*), śpiewając sprośne piosenki. A oto na czele bandy wesolków *crieur* w kołpaku i z berłem w dłoni: wśród małych breweryj swej świty krzyczy wniebogłosy:

Sots lunatiques, sots étourdis, sots sages,
Sots des villes, sots des châteaux, des villages,
Sots rassotés, sots niais, sots subtils,
Sots amououreux, sots privés, sots sauvages,
Sots vieux, nouveaux et sots de toutes âges,
Sots barbares, étranges et gentils,
Sots raisonnables, sots pervers, sots rétifs,
Votre prince sans nulles intervalles

Le mardi gras jouera ses jeux aux Halles.

Wołaniu temu posłuszni są wszyscy. Ze wszystkich domów wybiega spragniona zabawa hołota, wkrótce całe miasto wygląda jak dom warjatorów na wycieczce, wali przez miasto oszalałe z uciechy bractwo, tańczy, pije, hula — i jakże się mu dziwić, kiedy kozły fika, całuje się, przewraca, śpiewa sam majestat królewski, jak świadczą kroniki, sam król Henryk III biegał tego dnia po Paryżu, „jetant dans la boue les chapeurons des femmes”. Stare baby przeżywały



wówczas piekielne sensacje — wyprawiano z nimi psie figle, przyczepiając im do sukien żywe szczury na haczyku, wieszając za plecami „klocki” w postaci brudnych gałganów, wreszcie tłukąc poprostu ku uświetnieniu zabawy. A uchodziło to bezkarnie, gdyż przykład dał sam król. Wesoły ten monarcha kazał kiedyś podczas balu karnawałowego zgasić wszystkie świece w pałacu i, jak zaznacza kronikarz, „pendant l'obscurité la pudeur des dames eût beaucoup à souffrir”. Widzimy więc, że warjowano sobie najrozmaiciej.

Przywilejem jednego miasteczka było święto lisa (fête de renard), innego — święto śledzia (fête du hareng), odbywały się procesje niewinątek (procession des innocents) — słowem, różne były sposoby wyładowania narzmiących szaleństwem temperamentów, ale bawili się wszyscy, bawili się wszędzie i zawsze, gdy tylko na kalendarzu ukazywały się magiczne słowa zwiastujące karnawał. A co najmiłsze — bawili się bez skrępowania czyli w większości wypadków nieprzystojnie. Gdyby nie świadectwa współczesnych, pełne oburzenia głosy dostojników kościelnych (jeden z nich pisze, że to „horror et ambominatio”), trudno zaprawdę byłoby uwierzyć, do jakiego rozpasania dochodziły oszalałe tłumy.



Ojczyzną karnawału są Włochy, tam więc obchodzono go najhuczniej. Frywolne ceremonje średniowieczne ustąpiły miejsca niemniej wesołym, lecz szlachetniejszym w wyrazie zabawom renesansowym. Oprócz tradycyjnych procesyj i pochodów odbywały się tam zabawy całkiem groteskowe, jak wyścigi młodych Żydków, podtatusiałych jegomościów, dzieci i zwierząt, a pewien pomysłyowy hulaka urządził w w. XVI wyścigi kurtyzan! Wspaniałe kawalkady prowadzone były przez najwybitniejsze osobistości, wiadomo np., że jedną z nich wiodł książę de Camerino, a inną kardynał Farnese. Uroczystości karnawałowe połączone były z polowaniami, widowiskami teatralnymi i balami maskowymi w zamkniętych lokalach. Od czasu renesansu datuje się tedy obyczaj t. zw. maskarad. Na ulicach bawiono się w „moccoletti”, święto ognia: uczestnicy tej zabawy trzymali zapalone świece, gasili je sobie wzajemnie i znowu zapalali, obrzucano się grochem i confetti, przebierano się za obcych monarchów i wysokich dostojników państwowych, sypiąc przytem ciętymi aluzjami politycznymi. Pewien obywatel rzymski w w. XVII przypłacił więzieniem zbyt dosadny kostjum: przebrał się on za kardynała, swawolnem zaś zachowaniem ściągnął na siebie surową karę. Przy sposobności zaznaczam, że nie tylko tak wyraźne kostjумы ale nawet samo noszenie masek było niejednokrotnie



zakazywane, a w roku 1626 stracono we Francji dwóch mieszczan za maskowanie się podczas karnawału.

Wszystkie narody romańskie świętowały karnawał z wielką pompą, wysilając się na coraz to nowe pomysły. W Madrycie oprowadzano po ulicach manekin starej kobiety (reina cuaresma) z siedmioma długimi chudymi nogami — jako symbol siedmiu tygodni postu. Przy końcu każdego tygodnia odcinano babie jedną nogę, poczem zamykano reinę w udekorowanej budzie, a tłumy oddawały jej hołdy, tańcząc i śpiewając wokół symbolicznej maskary. Wreszcie przenoszono je na *plaza mayor* i tam przy wesołych okrzykach ścinano głowę.

Wszystkie te groteskowe pomysły i wyszukane uciechy zaćmiewał świetnością swą karnawał wenecki. Trwał on przedewszystkiem dłużej niż gdziekolwiek, niezwykle zaś atrakcje ściągały do Wenecji nieprzebrane tłumy żądnych zabawy osób. Piazza, która w dzień powszedni jak salon wygląda, zamieniła się wtedy w zaczarowaną salę balową, której sufit iskrzył się nocą migotem gwiazd. Maski, barwne kostjумы, czarne i kolorowe płaszcze kawalerów, gwar, muzyka, szepty i chichoty, śpiew z oświetlonych lampionami gondoli — wszystko to zlewało się w barwny melodyjny chaos jakiejś feerii fantastycznej. Zjeżdżały wtedy do Wenecji najznakomitsze kurtyzany, najwytworniejsze donny, najbardziej tajemniczy awan-

turnicy i poszukiwacze przygód, których nęciły nie tylko rozkosze niespodziewanych konkiet miłosnych ale i gry hazardowne. Oto jak opisuje Don Jaime Alvarez, słynny awanturnik i kobieciarz wieku XVIII, rozkosze nocy karnawałowej w Wenecji: „Zgrałem się wprawdzie do ostatniego cekina, ale właściciel spelunki znał mnie z lat poprzednich i pożyczył jeszcze setkę pod warunkiem, że więcej grać nie będę. Wyszedłem na plac św. Marka rozgorączkowany hazardem gry. Buchnęła na mnie jakby lawa z wulkanu: gorący, płomienny, namiętny gwar i hałas. Miałem już porządnie w czubie, gdyż przez cały wieczór piłem wino, więc w pijanych oczach moich troiło się to, co samo przez się wystarczyłoby, aby człowieka oszołomić. Księżyc nad placem wygląda jak ulepiona z seledynowej gliny śmiejąca się maska, nad roztańczonym i rozbawionym mrowiskiem ludzi płoną pękające co chwila ognie sztuczne, muzyka zagłusza śmiech i swawolne rozmowy, wszystko krąży, popycha się, trąca, rzucając sobie wzajemnie w twarz skrawki kolorowych papierków, uśmiechy i pocałunki. Z trudem przedostałem się do Campanilli, przy której umówiłem się z ową Włoszką z oberży. Czekała tam zniecierpliwiona, gryząc zwisające u aksamitnej maski czarne koronki. Ledwo zdążyłem się przywitać, jak porwała nas fala tłumy. Chciałem wrócić do oberży, chwyciłem się instyktownie za kieszeń i, o zgrozo! pożyczonych





stu cekinów już w niej nie znalazłem. Tę drobną stratę, spowodowaną zapewne przez jednego z licznie przybyłych tu złodziejów, pokryła mi stokrotnie ustami swimi urocza Wenecjanka. „Nie sądz, — powtarzała w najczulszej chwili, — że zawsze taka jestem: to karnawał tak mnie nastroił” (Rigár, „Souvenirs”, Paris, s. a., str. 109).

Trzeba przyznać, że warta była zabawa 100 cekinów. Przysłowiowy karnawał wenecki trwa do dnia dzisiejszego, lecz mocno zamerykanizowany, a przez to pozbawiony istoty swego uroku.Ils sont passés ces jours de fête... Zresztą, o ludzie zamożni! nienajgorzej zabawić się można i dzisiaj podczas karnawału w Nicei! Opowiadał mi pewien zasobny w znaki obiegowe znajomy, że trzytygodniowy pobyt na Riwierze włącznie z figlami i igraszkami karnawałowymi kosztował go o 100 złotych więcej niż trzy bale warszawskie...

* * *

Z trzaskiem, blaskiem i na całego bawiono się ongi w Polsce. „W mięso-pusty i zapusty, według świadectw autorów z XVI w., szalała w Polsce zabawa pod wiechą i na ulicach miasta, gdzie nieraz i szablami rąbała się pijana czereda, a nawet do półhaków rwali się bracia szlachta i mieszczaństwo. Wrzask i hałas rozlegał się i głużył głosy przechodniów” (L. Lepszy:



„Lud wesołków w dawnej Polsce”). Ostatnie chwile zapustu, mówi dalej ten sam autor, były najczęściej czasem dawnych kuligów szlacheckich i mieszczańskich, na które starym zwyczajem obsyłano laskę z kulą z wierzchu, a potem wyprawiano arlekina, który z trzepaczką w ręku wpadał do domu, gdzie się naprzód zjechać miano, i śpiewał skacząc: „Ej, kulig! kulig!” poczem zniknął... Suną tedy pary kuligu: starosta z starościaną i państwo młodzi w krakowskim stroju, organista z żoną, młynarz z młynarką, arendarz z arendarką, družbowie i druchny, górale, cyganie i wróżki... — „Dmą w piszczałki, tną w grube basetle (niech mi wolno będzie własny wiersz zacytować) so-wizdrzały, łokietki, poczwary, Chochlik, świstak i Boruta stary, Pan Twardowski i wiedźma na miotle, Żydy, pany, mieszczaństwo i chłopcy, kuse fraki i szerokie popy”. Opis imponującego kuligu z roku 1695 pozostawił Ludwik Cler-

mont, sekretarz królowej Marji Kazimiery, żony Jana III. Wezwane znakomite osoby zjechały się do pałacu Daniłowiczów. O godzinie 3 po obiedzie trębacz dali hasło, i cały orszak wyruszył jak następuje: 24 Tatarów konno ze służby królewicza Jakóba, dziewięć osób po cztery konie, jedno przed drugimi, jak zowią szydłem zaprzężonych, na każdych sankach inna muzyka: Żydy z cymbałami, Ukraińcy z teorbanami, fajfry, janczary, zebrani z różnych dworów. Następowaly sanie okryte perskimi



kobiercami, sobolami albo drogiemi futrami; koni było u każdego sani po cuğu, strojnych w pióra, czuby i kokardy. Na każdym saniami po kilka siedziało osób płci obojej, a około sani młodzież dworska konno. Takich ekwipażów było sto siedem, na końcu były sanki w kształcie Pegaza; siedziało w nich ośmiu młodzieńców, którzy rozrzucali wiersze, ułożone uprzednio. Wszyscy goście kolejno zajężdżali po domach, a gdzie tylko przybyli, zaraz gospodarz oddawał klucze od piwnicy, a gospodyni od szpizarni. Każdemu gościowi wolno było brać wszystko, co się podoba. Wszędzie grała kapela, tańczono chwilkę i ruszano dalej...

Niektóre uczty zapustne przybierały w Polsce charakter wyraźnej bachanalji. W tłusty czwartek obchodzono „comber babski” — w Krakowie tańczono na rynku, rej w zabawie wiodły przekupki, ciągnąc starych i młodych w ochocze tany. Kawalerom nakładano wieńce grochowe i przywiązywano do kłoców, które tak długo ciągnąć musieli aż nie złożyli okupu. Z przedmieścia Piasek wiedziono bałwana: słomianego Bachusa — i rozrywano w kawałki.

Tak to się illo tempore bawiono...

Powolutku ale systematycznie mieszczuch zaczął ton zabawom nadawać. „Nie wypadało” mu bawić się w karnawale na ulicy, wymyślił więc reduty, bale, maskarady. Ciekawe szczegóły o pierwszych redutach warszawskich podaje Gołębiowski w rzadkiej dziś książce „Gry i zabawy różnych

stanów” (Warszawa, 1831): „Pierwsze reduty w Warszawie były przy ulicy Piekarskiej w domu pod liczbą 105. Tam August II, stronnik zabaw, do późnej bywał porry. Dawano je potem w najętych pałacach, u Przędzickich, Radziwiłłów, Jabłonowskich i w innych miejscach. Najpierwszym redut przedsiębiorcą był Salvator, który w Nowem Mieście kamienicę wymurował, później znaleźli się inni spółzawodnicy. Od 1740 do 1750 roku tak były ulubione reduty, że je dawano, zaczawszy od października aż do Adwentu i znowu przez całe zapusty po 3, 4 i 5 razy na tydzień; w niedzielę bawiono się w kilku miejscach, a zawsze pełno było osób. Reduty bywały tak liczne, że po 6.000 biletów rozdawano, chociaż przed 1780 rokiem płacono za bilet po 9 zł. pol. Maskowano się, osoby wchodzące miały domino, czyli płaszcz kitajkowy, albo wyszukane jakie, wspaniałe lub osobliwsze ubiory.

Przejeżdżano z jednych redut na drugie, płacąc wszędzie od wnijscia, ażeby zobaczyć co się na każdym dzieje; wracano za kontramarką do najupodobańszych. Nie wolno było wchodzić z bronią ani bez maski... Reduty zostawały pod opieką sądów marszałkowskich dla utrzymania w nich porządku i spokojności... Maski jedne drugich napastowały, zgadując sobie albo skrytości jakieś powiadając... Dla pierwszej pary, tańcować mającej, stało krzesło na sali; kto się chciał docisnąć do przodko-





wania w tańcu, starał się usadowić damę swoją na tem krześle, sam przy niej stanąć. Nieleniwo koło tego potrzeba było się zwijać; gdy kto swego dopiął, już mu nikt pierwszeństwa brać nie śmiał... Wszystko tam było niezmiernie drogo. Szklanka wody albo filiżanka herbaty 12 groszy, limonady, orszady tyńfa, piwa krajowego nie było, angielskie 4 tyńfy, wina francuskiego do wody butelka 2 tynty, węgierskiego 8, burgudzkiego 8 tyntów, lepszego węgierskiego, szampana i ryńskiego po dukacie, kapłun pieczony albo pieczeń cielęca w ćwiartce — talar bity... Kto hałasował — wyprowadzony i wzięty do kozy... Trafiły się czasem pojedynki z obrazu na reducie”.

W „Kurjerze Warszawskim” z r. 1827, nr. 43, taki znajdujemy opis reduty w Wilnie: „Dał ją Radziwiłł nieswieżski, zaprosiwszy obywateli z wileńskiego, trockiego i Żmudzi. Marcypanów samych wyszło 1000 sztuk, 80 barył wina. Maski reprezentowały narody znane i zamorskie; kacyk murzyński miał na piersiach tyle klejnotów, że światła jarzące na sali zdawały się od nich gasnąć. Zabawa trwała do 8 zrana”.

* * *

Lat temu 60—70 (chciałem dodać: „pamiętam jak dziś” — ale opamiętałem się) swawolnie ubokobrodzeni (pardon!) dziadowie i figlarne, ukrenolinowane



(ditto!) babki obecnych rozwierzganych tancerzy i tancerek bawili się, jak świadczą kurjerki ówczesne bardzo wesoło. Styczniowe numery „Kurjera Warszawskiego” z lat 1859—1861 pełne są opisów balów i maskarad warszawskich, często z niepozabawionymi czaru szczegółikami, dotyczącymi tualet pań i panien. „Panna Rz. zjawiła się na balu publicznym po raz pierwszy i zachwyciła wszystkich skromną a wykwinną sukienką, paryskimi winogronami ozdobioną”. Sądzę, że najgłębsze rozważania, rozpamiętywania najtkliwsze i opisy „swojami słowami” nie zastąpią uroczych zapowiedzi i sprawozdań prasowych z tych dawnych balów stołecznych. Oto np. co czytamy w „Kurjerze Warszawskim” z r. 1859:

„...Zabawa tańcząca w salonie Doliny Szwajcarskiej odbyła się zeszłej soboty w sposób bardzo przyzwoity, a ożywiona doborem osób, przeciągnęła się do dnia białego; wykonane zaś podczas niej po raz pierwszy nowe tańce, mianowicie *lancier* i polka p. n. „Bal Paris” powszechnie się podobały...”

Saturnalia starowarszawskie cieszyć się musiały ogromną frekwencją, gdyż jak czytamy w innym numerze „Kurjera”,

„tysiąc osiemset osób było na wczorajszej maskaradzie; nie jest to cyfra zbyt wielka, jak na trzecią; spodziewamy się liczniejszej i bardziej urozmaiconej, tem



bardziej, że karnawał tegoroczny „jest tak długi”.
A dalej:

„Domin widzieliśmy najwięcej czarnych, między którymi najpiękniejsze było czarne moire antique z takimże kapturem i girlandą z czarnych hiacyntów. O ile nam wiadomo, domino to okrywało jedną z powabniejszych piękności naszego miasta. Było także, jak na próbkę, kilka masek charakterystycznych, jako to: krakowiak, jakiś jegomość powracający z nad bieguną północnego, starannie w różnorodne futra opatrzone, stare małżeństwo, niezbyt powabnego oblicza, na koniec jakaś pani w arcygłębokim neglizżu, miała bowiem tylko spódnicę haftowaną, lekki kaftanik i pantofle; sądząc jednakże z ruchów i nóg niezbyt małych rozmiarów, ta pani musiała być panem”...

W lata żałoby narodowej, po powstaniu styczniowym, ucichły, oczywiście, rozigrane temperamenty. Karnawał warszawski nie wrócił już do dawnej świetności. W starych rocznikach „Muchy” pozostał o nim wspomnienia niezapomniany Kostrzewski. Charakterystycznym żartem ozdobił on karykaturę z roku 1871.

— „Franka, poznałem Cię po sutej tiurniurze”.

— „Proszę nikogój nie demaszkować”...

Jak widzimy, towarzystwo balowe zaczęło już wówczas „być mieszane”.



Do apogeum doszła ta mieszanina za naszych czasów.

* * *

Dzisiaj... I tutaj czytelniczka, która miała świętą cierpliwość doczytania artykułu do końca, czeka na bolesne westchnienie i narzekania na upadek stylu i tonu karnawału warszawskiego. Te pomstowania na współczesność zawsze były i są rzeczą modną. A jednak stanę w obronie obecnych maskarad i balów. Wprawdzie zabawa do białego rana prowadzi jednocześnie do białej gorączki; wprawdzie panuje na tych balach chronicznie chaos, wrzask, ścisk, zdzierstwo, jazz-band, tudzież kompleks tych wszystkich rozkoszy razem wziętych, wprawdzie szklanka lemonjady kosztuje (z przesadą) około stu złotych, a niejedna „maseczka” dopomina się natarczywie o „romszyk z cebulom” etc. etc. — mimo to wszystko, powtarzam, nie jest jeszcze tak źle.

— Albowiem będzie jeszcze gorzej. I za lat 50, kiedy my będziemy „stylowi”, a zmurszałe babcie, jak mówi poetka, będą grały „staroświeckie foxtrotty” — z czułością zaczęną wspominać potomni, jak pięknie i wytwornie bawiła się Warszawa w roku 1925. Sodoma bowiem i Gomora będzie karnawał warszawski w roku 1975, ale i ta Sodom wyda się niewinną grą w przepióreczkę wobec szaleństw roku 2025.

Juljan Tuwim.